Nr 26. Kraków, 25 Czerwca 1892. Rok II.

«KRAKUS» wychodzi w każdy Piątek wieczorem.

Administracya w księgarni «Spółki wydawniczej polskiej.»

Redakcya ul. Pijarska Nr. 5.

KRAKUS

Prenumerata wynosi

w Krakowie

rocznie . . 2 złr. 60 c.
półrocznie 1 » 30 »
kwartalnie — 65 »

z przesyłką pocztową

rocznie . . 3 złr. — c.
półrocznie 1 » 50 »
kwartalnie — 75 »

pismo poświęcone sprawom politycznym i społecznym,

oraz nauce, rozrywce umysłowej i szerzeniu wiadomości pożytecznych.

Postępowanie spadkowe i usiłowania Sejmu do jego poprawy.

(Dokończenie.)

IV.

Dzisiejsze postępowanie spadkowe nie wprowadza spadkobierców w posiadanie majątku, ale jest często źródłem długoletnich i kosztownych procesów.

Po ukończeniu całego postępowania spadkowego, po złożeniu deklaracyi do spadku i zapłaceniu należytości rządowych — wydaje sąd dekrety dziedzictwa. Jednak ten dekret nie ma mocy egzekucyjnej i często nie może spadkobierca na podstawie tego dekretu natychmiast objąć majątku, jeżeli ten, kto ten majątek ma w posiadaniu, oddać mu go nie chce. Musi więc taki dziedzic, choć ma dekret dziedzictwa, prowadzić o swoją własność proces, który czasem ciągnie się bardzo długo. Albo niesumienny opiekun lub brat starszy trzyma grunt i puścić go z rąk nie chce; młodsze rodzeństwo, chcąc przyjść do posiadania części przypadającej ojcowizny, jeżeli niema pieniędzy na prowadzenie procesu, to bierze to, co mu z łaski rzuci opiekun lub brat i tem się zadowalnia.

Dalej nie troszczy się sąd o dział spadku. Sąd dzieli pozostały majątek między spadkobierców w tak zwanych idealnych częściach, to znaczy, że jeżeli zostało pięcioro dzieci, to sąd każdego z tych spadkobierców zapisuje jako właściciela jednej piątej części. Tymczasem rodzina dzieli się inaczej. Czasem cały grunt zostaje w jednych rękach — a reszta dzieci bierze splat — w księgach zaś gruntowych zapisanych jest tylu a tylu współwłaścicieli. Często dzielą się dziedzice tak, że każdy bierze jeden kawałek pola, kawałki te są nierówne — a każdy jest w księgach gruntowych zapisany jako właściciel równej części. Przez to księgi gruntowe nie zgadzają się z tem, co kto rzeczywiście posiada. Przez to następuje niesłuszne wymierzenie podatku i inne dla właścicieli niekorzystne okoliczności.

Wysokość opłat spadkowych jest powodem, że taksatorowie szacują grunt nisko, aby spadkobiercy mniej zapłacili. I tak jeżeli mórg gruntu wart 150 złr., to oni go szacują na 60 albo 80 złr. Myślą, że przez to dobrodziejstwo spadkobiercom wyświadczają. Tymczasem tak nie jest. Bo jeżeli grunt zabiera jeden ze spadkobierców a innym daje spłatę, to spłata liczy się według oszacowania i dzieje się krzywda współspadkobiercom. Jeden z tego korzysta, inni tracą. Ztąd powstaje niezadowolenie i częste procesa.

Dla usunięcia tego złego przedstawia Wydział krajowy następujące wnioski:

Dział spadku ma być przeprowadzony, jeżeli tego zażąda który z dziedziców.

Dział ma przeprowadzać notaryusz; spory wynikające z działu rozstrzygać ma sąd.

Dział spadku na żądanie spadkobierców ma być zrobiony przed wydaniem dekretu dziedzictwa.

Jeżeli spadkobiercy są wszyscy małoletni, dział spadku odbywa się po wydaniu dekretu dziedzictwa, albo na żądanie tego, który pierwszy dojdzie do pełnoletności, albo gdy to sąd za stósowne uzna.

Wynik podziału ma być zapisany do dekretu dziedzictwa.

Dekrety dziedzictwa mają mieć moc egzekucyjną.

Zestawiając to wszystko razem, tak opiewa mniej więcej wniosek Wydziału krajowego:

Sejm uznając, że reforma postępowania sądowego w sprawach niespornych a w szczególności w sprawach spadkowych i sierocińskich jest niezbędną i konieczną wzywa c. k. Rząd, ażeby do tej reformy przystąpił najrychlej na podstawie następujących zasad:

1) Czynności połączone z postępowaniem niespornem mają być rozdzielone pomiędzy sąd a notaryuszy. Do sądu należeć ma przyznanie spadku i rozsądzanie sporów wynikających podczas postępowania spadkowego. Reszta czynności ma być oddana notaryuszom.

2) Należytość dla notaryuszów za sporządzanie

aktów spadkowych należy uregulować tak, aby od drobnych spadków do 500 złr. nic się nie płaciło, dla mniej zamożnych byłaby należytość mała, a od większych spadków coraz większa zapłata.

3) Duchowni prowadzący metryki mają obowiązek do ośmiu dni donieść o każdej śmierci sądowi, a zarazem podać, czy po zmarłym pozostał jaki ruchomy lub nieruchomy majątek, i czy istnieją małoletni spadkobiercy.

4) Naczelnik gminy ma obowiązek zarządzić, co potrzeba dla zabezpieczenia majątku małoletnich lub nieobecnych spadkobierców i donieść o tem notaryuszowi.

5) Przy spadkach drobnych włościańskich i małomieszczańskich powinny być wszystkie akta, potrzebne do wydania dekretu dziedzictwa, spisane w jednym protokóle i na jednym terminie. Akt zejścia nie potrzebuje być spisany w domu zmarłego, przez co koszta będą mniejsze. Zarząd spadku, zabezpieczenie majątku, zawiadomienie dziedziców i inne czynności, które dotąd sąd załatwiał, dalej odebranie przysięgi od świadków, jeżeli było tylko ustne rozporządzenie ostatniej woli — ma być poruczone notaryuszom, jako delegatom sądowym.

6) Dział spadku przeprowadzać ma notaryusz; spory powstałe przy podziale rozstrzyga sąd.

7) Dla nadzoru nad opieką mają być ustanowione Rady opiekuńcze, które donosić będą sądom o nadużyciach i zaniedbaniu opiekunów. Dla każdej gminy mianowana będzie osobna Rada opiekuńcza.

Sprawa ta nie przyszła z powodu krótkiego trwania sesyi sejmowej pod obrady i załatwioną będzie pewnie dopiero w jesieni. Rząd zaś musi uznać nareszcie potrzebę zmiany dotychczasowych przepisów o postępowaniu spadkowem i opiekuńczem, które wielkie ciężary na ludność wkładają i zastósować się do życzenia Sejmu. Możeby nie źle było, gdyby gminy ze swojej strony wnosiły petycye do Sejmu z żądaniem zmian tego postępowania.

Połączenie gmin i obszarów.

Podczas ostatniego Sejmu poseł Potoczek postawił był wniosek o połączenie obszarów dworskich z gminami. Wniosek ten po obradach w komisyi odesłał Sejm do Wydziału krajowego z poleceniem, aby zbadał stosowność zaprowadzenia takiej zmiany i zdał sprawozdanie przyszłemu Sejmowi. Nie pierwszy to raz w Sejmie pojawia się podobny wniosek, chociaż obszary dworskie wcale niedawno istnieją. Za czasów pańszczyznianych policyę i sądownictwo w gminie wykonywał pan włości, ale kiedy w innych krajach panowie za te czynności pobierali nawet wielkie opłaty, w Polsce takich opłat nie znano. Po zaborze Galicyi rząd austryacki chciał tu wprowadzić opłaty, jakie

Wspomnienie z młodych lat.

Pamiętam wielkie nieszczęście, które całą wieś dotknęło. Byłem wtedy chłopcem piętnastoletnim i właśnie przyjechałem na wieś na wakacye do rodziców. Był we wsi mój kolega i przyjaciel, co razem ze mną do gimnazyum chodził, syn zamożnego kmiecia. Poczciwy to był chłopiec, kochałem go też bardzo, a i on był dla mnie jakby brat rodzony.

Schodziliśmy się codzień, to on do mnie, to ja do niego; razem chodziliśmy po lasach, po polach, do rzeki, razem szukali raków, czasem konno uganiali, często rodzicom pomagaliśmy dopatrzeć żniwa lub młocki.

Jakoś z początkiem sierpnia, koło św. Wawrzyńca, puściły się deszcze; kapuśniak wciąż siekł, jakby to już w jesień; błoto się zrobiło wielkie i na polach i na ścieżkach, a nawet na ubijanej kamieniami drodze. Każdy siedział w domu, bo i nie było po co wychodzić; w polu żadnej roboty, na łąkach woda. Jeden czytał książki, drugi naprawiał narzędzia gospodarcze, na nieszczęście nie brakło i takich, co w karczmie z nudów zalewali się gorzałką.

Minął z tydzień, zanim się wypogodziło i podeschło, a przez ten czas nie widzieliśmy się z kolegą i przyjacielem, bo prawie pół mili było mi do niego, a na deszcz i błoto trudno mi się tam wybrać było. Skoro się słonko pokazało i ścieżki stwardniały, idę do przyjaciela.

Ojciec jego nazywał się Jędrzej Grzela, a jemu na imię było Franuś. Przychodzę, a przed domem siedzi Grzela, fajkę trzyma w zębach, ale nie widzi nawet, że mu zgasła, bo pociąga z cybucha, chociaż dym nie idzie. Widocznie zamyślony i zakłopotany.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — rzeknę.

— Na wieki wieków — odpowiada Grzela, ale widocznie smutny.

— Co tak myślicie gospodarzu? Czy wam deszcz narobił szkody?

— Ej, żeby to tyle strapienia co z deszczu.

— Mieliście już wszystko na czas w stodole, nic wam w polu nie zamokło?

— A choćby tam i zamokło, to nie tyleby się człowiek trapił.

— A cóż to za strapienie macie?

istniały w innych prowincyach, ale ówcześni panowie oświadczyli, że i nadal będą wykonywali policyę i sądownictwo bezpłatnie. Opłat więc u nas żadnych nie było, a pod zwierzchnictwem panów istniały gminy, które wybierały wójtów i przysiężnych tylko do pomocy panom w sprawach tak pańszczyzny jak sądu i policyi. Kiedy więc ze zniesieniem pańszczyzny ustała władza panów sądowa i administracyjna, musiano utworzyć gminy, którebyu wzięły na siebie te czynności policyi, poboru rekruta, zbierania podatków oraz zarządu majątkiem gminy, jakie wprzódy sprawowali panowie. Pozostawiono jednak grunta dworskie poza gminą i utworzono z nich obszary dworskie, ktore u siebie mają wykonywać te czynności urzędowe, jakie spełniają zwierzchności gminne w obrębie gminy. Takie zarządzenie uczynił rząd w r. 1856. Kiedy w 10 lat później Sejm uchwalał dziś nas obowiązującą ustawę gminną, która gminie nadała tak obszerne prawa do zarządu majątkiem i do sprawowania policyi, w Sejmie we Lwowie były różnice zapatrywań, czy nadal utrzymać obszary dworskie, czy też je włączyć do gmin. Znaczna część posłów pochodzących z obszarów dworskich a na ich czele hr. Adam Potocki z Krzeszowic usilnie przemawiali za takiem połączeniem, aby kilka gmin i obszarów razem połączyć w tak zwaną gminę zbiorową, to jest gminę złożoną z kilku wiosek i kilku obszarów razem. Posłowie ci dowodzili, że taka większa gmina wraz z obszarami będzie miała zasoby do utrzymania porządku, a dwory znając lepiej ustawy pomogą do lepszego zarządu gminą. Wtedy jednak przeciw takiemu urządzeniu oświadczyli się posłowie z Galicyi wschodniej, oraz wszyscy włościanie zasiadający w Sejmie, a było ich w tym Sejmie dość dużo. Za gminą zbiorową była więc mniejszość. Potem jeszcze wiele razy podnoszono w Sejmie połączenie gmin i obszarów w większe gminy zbiorowe, ale włościanie byli zawsze temu przeciwni i to było główną przyczyną, że takiego połączenia nie uchwalono. Włościanie zaś sprzeciwiali się połączeniu z dwóch powodów: raz mówiono, że gminy mają swój majątek, majątek ten należy do gromady, gdyby zaś do gminy weszły dwory, toby nabrały prawa do majątku i my włościanie stracilibyśmy na tem. Powtóre, włościanie chcieli rządzić się sami i obawiali się, że jak dwór wejdzie do gminy, to oni popadną pod władzę pana, jak było za czasów pańszczyźnianych, — nawet byli tacy, co sobie wyobrażali, że panowie chcą tego połączenia, aby powrócić do pańszczyzny. I jedna i druga obawa była zupełnie fałszywa. Majątek należący do gromady nie może jej być odjęty, musi pozostać gromadzkim. Co gmina połączona wspólnie ze dworem za wspólne pieniądze nabędzie, to byłoby wspólną własnością, ale majątek dzisiejszy gmin powstał głównie przez oddanie włościanom części pastwisk i lasów, albo kapitałów z wykupna służebności dawnych do paszenia i lasu, i to jest majątek włościan, gromady i tenby zawsze pozostał ich wyłącznym majątkiem, do którego nikt inny prawa mieć nie może. Tak samo i właściciel obszaru w gminie władzy by nie miał, chybaby go ra-

---

— Ano Franek już drugi dzień chory, gorączka go wzięła taka, że ani się ruszyć nie może; nie poznaje nikogo, nie je, nie pije i nie wiedzieć co radzić?

— A cóż lekarz powiedział?

— Jaki lekarz?

— Ano lekarz czyli doktór?

— Kiedybom po doktora nie jeździł.

— Bójcie się Boga Jędrzeju, czemuż nie poszlecie po lekarza?

— Ba! żeby to człowiek wiedział, że doktór na to poradzi.

— Czemużby poradzić nie miał, skoro się przez wiele lat tego uczył — odpowiedziałem.

— Ej, co tam z tego — mówi Grzela — chociaż są doktorzy i do chorych jeżdżą, a i tak ludzie umierają. Do nieboszczki pani Zarolskiej jeździł do dworu nie jeden doktór, ale ich było aż pięciu, a i tak umarła.

— To jużcić doktór nie Pan Bóg i życia nie da, gdy je Bóg zabrać pragnie, ale ileż to razy umarłby człek marnie, gdyby nie pomoc lekarska. Nauka obliczyła, że na stu chorych, którzy radzą się lekarzy, umiera pięciu, a na stu takich chorych, którzy się lekarzy nie radzą, umiera pięćdziesięciu; tym sposobem widzimy, że lekarze wydzierają śmierci czterdziestu pięciu chorych na sto.

— Może to i prawda, ale jak wola Boska, to i lekarz nie pomoże. Jabym wreszcie nie był od tego....

Chciał coś dalej mówić Grzela, ale w tej chwili wypadła z domu Jędrzejowa zapłakana bardzo i zaczęła zwadzić:

— O mój słodki Jezu, ratujże mi dziecko moje, Franusia mego, kochanie moje. O Matko Najświętsza, pomóżże mi w strapieniu. A toć to biedactwo czerwone, gorące, a dyszy strasznie, a nie wie już o niczem, jakby dusza była na tamtym świecie.

Jędrzejowa zawodziła głośno, aż u sąsiadów słychać było. Przybiegła też zaraz sąsiadka kowalka Maciejowa i zaczęła pouczać, a potem rzekła:

— Nie trapcie się Jędrzejowa. Raz tak mojego niemoc wzięła, takusieńko gorączka go żarła, ano dałam mu krew puścić i zaraz mu ulżyło. Co tu długo myślać, biegajcie po cyrulika, niech całą miskę upuści krwi Franusiowi, a zobaczycie, co zaraz wyzdrowieje.

Jeszcze nie skończyła Maciejowa, a już nadeszły dwie inne kobiety z sąsiedztwa i dalejże radzić.

— Ot nagotujcie wody, nalejcie do tego araku,

da gminna sama wójtem wybrała. W radzie gminnej zasiadałby on na prawach równych z innymi, a podatki gminom płaciłby także, przez co dochód w gminie byłby większy i byłoby łatwiej coś zrobić. Gdyby zaś w radzie gminnej zasiadało paru członków z wyższem wykształceniem, toby tylko wszyscy na tem dobrze wychodzili, boby pisarz w gminie nie mógł przewodzić, byłoby komu dobrze skontrolować kasę i inne porządki porobić.

Wszyscy też, co są za takiem uporządkowaniem gmin, ucieszyli się, jak poseł włościański Potoczek postawił wniosek o połączeniu gmin i obszarów, bo z tego przekonywują się, że u włościan znikają niesłuszne obawy, aby ich kto chciał krzywdzić na majątku, lub żeby kto myślał poddać ich władzy dworu. Widać zarazem, że włościanie zrozumieli, że lepiej jest być razem, gdyż gmina zyska przez to na sile majątkowej i na rozumieniu spraw. Wszystko to był właśnie w swej mowie poseł Potoczek wypowiedział. Nie wiemy dobrze, jak sobie ten poseł wyobrażał to połączenie gmin z obszarami, dla nas takie połączenie jest bardzo pożądane, ale pod warunkiem, że będą utworzone większe gminy z kilku gmin dzisiejszych i z kilku obszarów dworskich czyli gminy zbiorowe, bo wtedy dopiero gminy z obszarami będą razem wspólnie postępowały, kiedy i obszar nie będzie obawiał się, że gmina na niego będzie starała się zwalać większe ciężary. Gdyby właściciel obszaru był w wiosce sam wobec całej gminy, toby ciągle mógł obawiać się, że gmina takie padatki nałoży, aby dwór niesprawiedliwie obciążyć i mogłyby zajść nieporozumienia we wsi; ale jak będzie gmina zbiorowa, to porozumienie zgodne będzie zapewnione, bo gminy z kilku obszarami wspólnie będą pracowały i tak ułoży się, aby każdy był zadowolony.

W takim zaś razie dzisiejsze gminy zawsze wybierałyby dla zarządu majątkiem swoich ludzi, boby majątek pozostał przy nich; ale policyą, szkołami, rekrutem, podatkiem jużby nie zajmowała się każda wioska, tylkoby kilka wiosek i obszarów robiło to razem i byłoby każdemu łatwiej. Razem też kilka wiosek prędzej zabrałoby się na założenie szpitaliku, albo na utrzymanie dobrych buhajów, na sprawienie sikawki i na inne porządki bardzo potrzebne, na które nie stać dzisiejszych gmin.

Przeprowadzić taką reformę nie tak łatwo, zawsze jeszcze we wschodniej stronie kraju są jej niechętni i włościanie i dwory. Włościanie jeszcze tam nie rozumieją korzyści połączenia, bo jest tam wielu ludzi, co pracują nad tem, aby utrzymać niezgodę pomiędzy Polakami i Rusinami, — przytem tam wioski duże, od siebie oddalone, więc jest trudność utworzenia gminy zbiorowej. Mimo tych trudności otwiera się nadzieja dojścia do takiej gminy, skoro pojęcie jej potrzeby i pragnienie jej utworzenia przeniknie do coraz większej liczby ludności. Sprawa to bardzo ważna i jeszcze nieraz przyjdzie nam powrócić do niej mówiąc o gminie;

---

a cukru dajcie sporo i dajcie mu wypić, to się spoci i gorączka z niego wyjdzie — mówi jedna ze sąsiadek.

— Ono to i nie złe — powiada druga — ale ja mam lepsze lekarstwo. Wysmarujcie go dobrze okowitą z mydłem, to gorączka ze wszystkiem zejdzie.

Radzą i radzą, a Jędrzejowa nie wie, kogo słuchać, aż Jędrzej rzecze:

— Możeby po doktora pojechać?

— Wdajcie się tam z doktorami — zawoła Maciejowa — to wam wnet Franka na tamten świat wyprawią. A czy to nie wiecie, jak stary Jan chorował, to mu ulżyło, gdy mu za moją poradą krew puścili, a potem gdy sprowadzili doktora, to wnet umarł.

— Ano to i prawda — rzekną sąsiadki — a Jędrzej się zadumał bardzo.

Wziąłem Jędrzeja na bok i zacząłem go prosić, aby kobiet nie słuchał, ale zaraz po lekarza pojechał. Jędrzej mi przyrzekł, iż tak uczyni; zajrzałem więc do Franusia, ale mnie nie poznał, gorączkę miał straszną. Zapłakałem nad przyjacielem, westchnąłem do Pana Boga za nim i poszedłem do domu, bo już się ściemniać zaczynało.

Na drugi dzień o świtaniu poszedłem się dowiedzieć, co lekarz powiedział i co przepisał, ale po lekarza Jędrzej nie jeździł, bo mu kobiety odradziły, jeno cyrulik puścił krew Franusiowi, a Jędrzejowa dała mu gorącej wody z arakiem, co mu nawet przez siłę do gardła wlewali, a potem wysmarowali go okowitą. Gorączka się zwiększyła, charczał biedny Franuś, osłabiony był tak, że leżał bez ruchu.

Widząc, że mu nie poradzę, pobiegłem do księdza proboszcza i powiedziałem mu wszystko, a prosiłem, by po lekarza posłał. Ksiądz proboszcz, który Frania bardzo kochał, zaraz posłał do miasta, a sam poszedł do Grzeli, wziąwszy mnie ze sobą.

Właśnie sąsiadki wraz z Maciejową dopytywały się Jędrzejowej, czy ich lekarstwa Franusiowi pomogły, gdy nadszedł ksiądz proboszcz. Podbiegli wszyscy, by księdza powitać, ale ksiądz nie wdawał się w długie rozmowy, tylko wprost powiedział do Grzeli:

— Przecież to z was, mój Jędrzeju, człowiek nie głupi, a mając chorego syna nie posyłacie po lekarza. Przecież stać was na to, bo człowiek z was zamożny; a gdybyście nawet biedni byli, to i tak dziecko ratować potrzeba.

dziś tylko zaznaczamy naszą zgodność z główną zasadą połączenia gromad z obszarami w większe zbiorowe gminy.

Oto kapłan Kościoła katolickiego.

W Ameryce zmarł niedawno pastor Davis, pastor Metodystów (sekty wyznania anglikańskiego), znany pod pięknem nazwiskiem: pastora żebraków. Tenże pastor opowiada w swoich pamiętnikach pewne zdarzenie, z którego pokazuje się gorliwość i bohaterskie poświęcenie kapłana katolickiego, a mianowicie księdza Hendricken, który później Biskupem został.

„Licząc lat dwadzieścia, wybrałem się w podróż do Ameryki na okręcie „Columbia", na którym równocześnie i zmarły ks. Biskup Hendricken, wówczas młody kapłan, podróżował. Kapitan okrętu i cała załoga byli zaciętymi katolikożercami, obcokrajowców nienawidzili w najwyższym stopniu. Doznał tej nienawiści protestanckiej i ksiądz Hendricken i o mało, że jej życiem nie przypłacił.

Kapitan okrętu, jako też wszyscy jego oficerowie i majtkowie należeli do partyi nienawidzących obcokrajowców, a kapitan był nadto znanym kierownikiem i prezydentem pewnej loży masońskiej w Maine. Na okręcie znajdowało się 700 podróżnych na pokładzie, pomiędzy tymi było 500 wyznania katolickiego — Irlandczycy i Niemcy. Ja (Davis) oddawałem posługi religijne protestantom, a młodzi kapłani Hendricken i Walsh wzięli w opiekę katolików. Ja znajdowałem się na pokładzie, obaj nowowyświęceni kapłani odbywali podróż w kajucie. Gdy trzynaście dni znajdowaliśmy się już na morzu, pewna katolicka niewiasta zachorowała na śmierć w międzypokładzie. Powiadomiłem o tem młodego księdza Hendricken. Pobiegł natychmiast do kajuty, ubrał się w szaty kapłańskie i z Najświętszymi Sakramentami pospieszył do umierającej kobiety, kiedy kapitan z klątwą zastąpił mu drogę, pochwycił go za gardło i zagraził mu zastrzeleniem, jeżeli o jeden krok poważy się postąpić naprzód. Wśród najokropniejszych przekleństw oświadczył młodemu kapłanowi, że na jego okręcie nie wolno odprawiać żadnych przeklętych papistycznych ceremonij. Następnie wyciągnął rewolwer i dodał, że przeklętego papistę na miejscu położy trupem, jeżeli chociaż jeden krok zrobi w kierunku, gdzie irlandzka kobieta leży w konaniu. Kapłan uchwycił za krucyfiks oświadczając, że powołanie jego nakazuje mu iść w pomoc umierającej, chociażby nawet życie za to dał. Kapitan zaczerwieniony ze złości, chciał powalić o ziemię kapłana, lecz ja i ks. Walsh nie pozwoliliśmy na to i odprowadziliśmy ks. Hendricken na stronę i namówiliśmy go, aby zaczekał, aż kapitan pójdzie na wieczerzę. Wtenczas pokryjomu może zejść na dół, podczas gdy my okrutnika zabawiać będziemy przy stole.

Nasz plan udał się. Gdy kapitan przy stole w najstraszniejszy sposób się przechwalał, że na jego

---

— Proszę Jegomości — odpowiedział Grzela — zdałem się na wolę Bożą.

— To bardzo dobrze — rzecze ksiądz — każdy powinien polecić się Bogu i oddawać Jego najświętszej opiece, ale na to Pan Bóg dał człowiekowi rozum i wolną wolę, aby ich używał, aby się niemi ratował. Pan Bóg pomaga człowiekowi tam, gdzie człowiek rady sobie dać nie może, gdzie siły ludzkie nie starczą, ale jak Pan Bóg za was nie pójdzie do żniwa i nie wymłóci, jeno sami to zrobić musicie, aby mieć pożytek ze ziarna, co z łaski Bożej wyrosło, tak też Pan Bóg recepty wam nie napisze i lekarstwa nie zrobi, bo na to z woli Bożej jest nauka lekarska i do niej o pomoc udać się należy.

— Ja się tam nie sprzeciwiam księdzu Proboszczowi — odezwała się jedna ze sąsiadek — ale powiem tylko tyle, że jak stary Jan chorował i już mu lepiej było, gdy doktór przyjechał, to wnet potem umarł.

— A do nieboszczki dziedziczki — wtrąciła druga sąsiadka — to aż pięciu doktorów jeździło, a przecież umarła.

— Mówicie moje kobiety — odpowie ksiądz proboszcz — ale mowa wasza nierozumna. Jak kto zachoruje, po lekarza zaraz posłać powinien, bo lekarz zaradzi chorobie, gdy ona jeszcze całkiem człowieka nie zmogła. U was jest ten zły obyczaj, że posyłacie po lekarza dopiero wtedy, gdy już choroba tak człowieka zgniecie, że mu żadne nie pomoże lekarstwo. Jak kto wczas zasieje, to będzie i zbierał, a jakby kto zasiał dopiero wtedy, gdy już mrozy chwytają, toby pewnie nic z pola nie zebrał. A cóżbyście powiedzieli na to, gdyby taki zły gospodarz nauczał potem drugich, że siać nie potrzeba, skoro się nic zbiera? Potrzebny siew, ale zrobiony we właściwym czasie; pomoże i lekarz, ale także we właściwym czasie wezwany. A to znowu, co mówicie o nieboszczce pani dziedziczce, także racyi niema. Lekarz nie Pan Bóg i cudu nie uczyni, i gdzie chorobę uleczyć się nie da, tam jej nie uleczy. Znowu uczynię porównanie. Co roku przecie sadzicie ziemniaki, ale nie zawsze wykopujecie jednako; zdarza się niekiedy, że i całkiem przepadną, bo zgniją. A czyż dlatego, że raz na jakiś czas ziemniaki przepadną, to już ich sadzić nie trzeba? A czyż dlatego, że niekiedy lekarz nie zdoła wyleczyć chorego, to już go nigdy nie wzywać? Źle czynicie moi ludzie, jeżeli nie wzywacie lekarza do chorych, bo tym sposobem zabijacie nieraz

okręcie, dopóki ma nim komendę, żadna papieska komedya przedsięwziętą być nie może, klęczał O. Hendricken u umierającej Irlandki, wysłuchał spowiedzi i podał jej ostatnią Komunię św. Umarła jeszcze przed ukończeniem modlitw, jakie przy śmierci odmawiane bywają.

Krótko przed skończeniem wieczerzy wpadł jeden z majtków do jadalni i zameldował kapitanowi, że przeklęty papista (ksiądz katolicki) jest na dole i pomaga owej irlandzkiej kobiecie. Kapitan skoczył jak dzikie zwierzę, uchwycił rewolwer i rzucił się do drzwi, w towarzystwie sternika i płatnika, którzy wszyscy trzej przysięgli, że zamordują ks. Hendricken. Pobiegliśmy za nimi i nadeszliśmy jeszcze dość wcześnie, aby zobaczyć, jak do wściekłości przyprowadzony kapitan idącego do góry po wschodach kapłana uderzył z całej siły w czoło tak, iż ten zbroczony krwią i bez przytomności spadł ze schodów i tamże bez znaku życia leżał.

— Przywleczcie tego psa do góry — rozkazał groźnie kapitan, a majtkowie pochwycili bezprzytomnego księdza za nogi i tak zawlekli go do góry i rzucili na pokład. Chcieliśmy iść nieszczęśliwemu na pomoc, lecz dzicy majtkowie gotowi wykonać każdy, choćby najokrutniejszy rozkaz kapitana, odepchnęli nas.

— Przeklęty papista nie powinien zobaczyć Nowego Jorku żywy — po tych słowach kopnął kapitan O. Hendricken w głowę, a każdy oficer i majtek poszedł za przykładem swego przełożonego. Krew płynęła z licznych ran, z ust i nosa, wciąż jeszcze zupełnie bezprzytomnego kapłana.

Pobiegłem na dół i opowiedziałem niemieckim katolikom o okropnej zbrodni dokonanej na pokładzie. 50 wysłużonych żołnierzy poszło za mną i nadeszliśmy właśnie na miejsce, gdzie kapitan dał rozkaz, aby przeklęty ścierw wrzucono do morza. Już majtkowie trzymali kapłana za nogi i głowę, aby go wrzucić do morza, gdy Niemcy wpadli pomiędzy nich i obaliwszy po prawej i lewej stronie okrutników na ziemię, wydarli im na pół nieżywego kapłana.

— Bunt! bunt! dla Boga! — krzyczał kapitan. Napomniałem go, aby się uspokoił, ponieważ katolicy tylko zamordowaniu kapłana przeszkodzili. Powiedziałem dalej, że gdy katolicy przez jego wściekłość i okrucieństwo doprowadzeni zostaną do ostateczności, z całej załogi nie pozostanie nikt przy życiu.

W tej chwili usłyszano wielki hałas, pochodzący z owej części okrętu, gdzie Irlandczycy napędzeni byli. I oni dowiedzieli się o nieludzkim postępku kapitana i srodze się oburzyli. Ksiądz Walsh starał się ich uspokoić, zaklinał ich na Boga i na wszystkich Świętych, aby nie robili zaburzenia, bo w takim razie straszna rzeź byłaby nastąpiła.

Kapitan dał rozkaz, aby O. Hendricken zakuto w żelaza. Niemcy wyśmiali się z niego, i na pół umarłego sługę Bożego wzięli z sobą na dół. Tu go gorliwie pielęgnowali, aż wyzdrowiał. Potem zanieśli go do jego kajuty, gdzie żywili go potrawami z Niemczech zabra-

---

życie swoich najbiższych; źle też czynicie, że w chorobie używacie często najzgubniejszych dla chorego środków. Więc powiadacie, że lekarz, który przez wiele lat uczy się leczenia, nie poradzi choremu, a Maciejowa albo inna sąsiadka, co się tego nie uczyła poradzić umie? A jak macie sprawę jaką ze sądem, to nie radzicie się żadnej sąsiadki, tylko idziecie do miasta do adwokatów. A dlaczego?

— Ha, no — powiada Grzela — bo adwokat uczył się prawa.

— A jak wam się buty podrą, czy je sami podszywacie- czy dajecie do szewca?

— A jakżebym też sam podszywał, kiedym się szewstwa nie uczył.

— A dom czyście sobie sami stawiali i sami murowali kuchnię i komin?

— Ale proszę Jegomości — powiada Grzela — przecież ja ani cieśla, ani murarz.

— A czy wy doktór? a czy te kobiety doktorki, że chorego sami leczycie? To do sprawy sądowej potrzeba adwokata, do butów potrzeba szewca, do wystawienia domostwa trzeba cieśli i murarza, a do wyratowania chorego, to już lada kto się przyda? Oj ludzie, ludzie! a cóż ważniejszego nad życie i zdrowie? do naprawienia butów szukacie majstrów, a do naprawienia zdrowia majstra wam nie potrzeba.

Wszyscy pospuszczali głowy, bo się zawstydzili bardzo, aż pierwsza Jędrzejowa pocałowała księdza w rękę i rzekła:

— Oj! prawda, prawda: jak też to ksiądz Proboszcz wyraźnie powiedział. O słodki Jezu, czemuż mi się to tak pierwej w głowie nie wyjaśniło. A idźże Jędruś, a zaprzęgajno prędko, a popędzaj konie, niech już doktór przyjeżdża.

Jędrzej zabierał się już ku stajni, ale go ksiądz proboszcz zatrzymał.

— Nie czekałem ja na was, ale sam po lekarza posłałem.

Jędrzejowie schylili się księdzu do kolan i podziękowali serdecznie za tę łaskę.

Ksiądz proboszcz wszedł do izby, popatrzył się na Franusia, za nim weszli Jędrzejowie. Franuś był coraz słabszy. Ksiądz smutno głową pokiwał, wyszedł zaraz z izby i niecierpliwie spozierał w stronę Tuchowa, patrząc, czy lekarz nie nadjeżdża. Gdy długo już czekali, dał się słyszeć turkot za górką, a wnet potem na pa-

nemi, obawiając się otrucia, i postawili na straży trzech ludzi dzień i noc przed jego drzwiami, ażeby żadnego gwałtu nie dopuścić, aż dojechali do Nowego Jorku. Zmarłą irlandzką niewiastę kapitan bez trumny, a nawet nie kazawszy ją zaszyć w miech, jak to jest zwyczajem na morzu, kazał wrzucić do wody w obecności męża i dzieci.

W trzy lata później tyran ów został zamordowany przez jednego majtka i tak sam znalazł grób na dnie morza, jaki ś. p. Biskupowi Hendricken zgotować zamierzał".

Korespondencye „Krakusa".

Wola Batowska 12 czerwca 1892.

W drugi dzień Zielonych Świąt odbyło się u nas otwarcie Czytelni przy Kółku rolniczem, założonej przez krakowskie Towarzystwo oświaty ludowej, które na ten cel nadeslało nam 103 różnej treści książeczek. Do licznie zgromadzonych w budynku szkolnym włościan przemówił najpierw Wny ks. Henryk Wędzicha, wikaryusz z Niepołomic a kierownik naszej czytelni.

W pięknej mowie swej wykazał jasno i przystępnie, jak to czytanie książki treści religijnej uchroni niejednego od zepsucia, z innej znów nauczyć się można lepiej gospodarować, a jeszcze inna powie nam, żeśmy Polakami i nauczy nas kochać tę polską ziemię i t. p., dla których to celów właśnie Czytelnia założoną została.

Podniosłem było przemówienie Przewielebnego ks. kanonika Antoniego Wróbla, dziekana niepołomickiego, który uroczystość otwarcia Czytelni obecnością swą zaszczycił. Zachęcał on nas włościan do czytania dobrych książek i pism, jakich właśnie Czytelnia dostarczać nam będzie a przestrzegał przed złemi, podejrzanej wartości książkami i pismidłami, usiłującemi zatruwać treścią swą treścią dusze ludzi.

Zastępstwo kierownika czytelni objął nauczyciel nasz p. Maciej Jarzyna i zaraz też pewną część książek do czytania porozdawał. W końcu Wojciech Pawełek podziękował imieniem zebranych Przewielebnemu ks. kanonikowi Antoniemu Wróblowi i ks. Henrykowi Wędzicha, jak rówież i Towarzystwu oświaty ludowej w Krakowie, iż Czytelnię u nas otworzyli, z czego sobie wiele dobrego obiecujemy.

Wojciech Pawełek, Karol Mazur,
włościanie i członkowie Kółka rolniczego.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Wielebny Księże Redaktorze!

Dobrze to mówi p. Antoni, że, gdy ci się spali chata nieasekurowana, to bierz kij, torbę i w świat na dziady. Kiedy to spali się jeden człowiek we wsi, to

---

górku ukazała się bryczka plebańska z lekarzem. Wyszli wszyscy na drogę na spotkanie doktora i już teraz Jędrzejowie po nauce księdza, a nawet Maćkowa i sąsiadki z upragnieniem lekarza oczekiwały.

Wszedł do izby z księdzem plebanem i Jędrzejem, a kobietom przed domem zatrzymać się kazał; zbadał chorobę, zapisał lekarstwo, ale z góry zapowiedział, że niema wszelkiej nadziei, aby Franuś wyzdrowiał, bo puszczenie krwi odebrało mu siłę, a ów arak powiększył gorączkę, zaś owo smarowanie okowitą do reszty chorobę zwiększyło.

Ponieważ u Franusia była choroba bardzo zaraźliwa, co ją tyfusem plamistym nazywają, przeto rozkazał lekarz, aby natychmiast z izby, w której Franuś leżał, przenieść inne dzieci, zakazał też chodzić ludziom do Grzelów, aby się zaraza po wsi nie rozniosła, a wójta wezwawszy surowo mu polecił, aby natychmiast dał znać do lekarza powiatowego w Starostwie, gdyby jeszcze kto we wsi na tyfus plamisty zachorował.

Było też płaczu i narzekania nie mało. Jędrzejowie gorzko żałowali, że się odrazu nie poradzili lekarza, a jeszcze bardziej sumienie ich gryzło, że usłuchali rad swoich sąsiadek. Brat Franusia zabrał się z lekarzem do Tuchowa do apteki po lekarstwo, ale zaledwie z niem wrócił, zaniemógł i znowu w gorączkę popadł taką samą jak Franuś.

A że to według zwyczaju dużo ludzi chodziło przedtem odwiedzać Franusia, w kilka dni już we wsi było kilku chorych na tyfus, a w tydzień w całej wsi choroba kładła ludzi. Zjechała komisya i lekarz powiatowy, lekarz z Tuchowa; ratowali, oddzielali chorych od zdrowych, zapisywali różne kwasy do polewania domów, pościeli, aby zarazki niszczyć. Franuś tymczasem gasł widocznie, a nawet nie miał na tyle przytomności i siły, by się wyspowiadać. Ksiądz proboszcz odmówił modlitwę, Franuś westchnął i dusza jego poszła do Boga.

Umarł mój najlepszy przyjaciel; chłopiec cnotliwy, a taki zdolny, że nie było od niego w całem gimnazyum zdolniejszego. Mógł był wysoko stanąć w świecie. Rzewnie zapłakałem na jego pogrzebie, ale któż opowie o ciężkim żalu rodziców? Kochali oni swe dziecko całem sercem, to też nie mogli się uspokoić po jego stracie. Bóg im zesłał w tem pociechę, że brat Franusia, zuchowaty parobczak, wyzdrowiał szczęśliwie, bo już nie leczyły go baby, sąsiadki, ale doktór z Tuchowa.

Gdzie chorych dobrze pielęgnowano, gdzie słucha-

mu czasem sąsiady pomogą, gdy jednak spali się kilku gospodarzy, wtedy rozpacz. Ot n. p. Ulanów znowu się spalił tego roku, ciekawym, co tam za pomoc sąsiedzka być może, skoro często nawiedzają ognie to miasto i wszyscy są nędzarzami. Z tego wszystkiego, jasno jak na dłoni, że każdy chłop powinien się asekurować, jeżeli chce w przyszłość patrzyć spokojnie.

Niewielka to rzecz, dać tych parę reńskich za asekuracyę, a z tego jeszcze czasem wracają. Choćby ci żal było, aż okropa, dać tych 2 lub 3 papierków, daj bratku, bo będziesz miał spokój, a w nieszczęściu ratunek dostatni. Oto powiem wam, w jaki to sposób ja się zaasekurowałem. Sprzedałem prosiaczka w mieście za 13 zlr. Spotykam Walka, a ten mię pyta, ileś wziął? Ja mu na to: 13 papierków. — No to daj 3 papierki na asekuracyę chałupy, a 10 schowaj sobie do kieszeni.

Wybałuszyłem na niego oczy, bo mię tak niespodziewanie zajechał tą asekuracyą w głowę, jakby furą siana. Pytam go tedy: A zkąd tobie nagle do głowy wpadła asekuracya? Gdybyś mi rzekł: choć przepij te 3 papierki, tobym się nie dziwował. A on mi na to wyciąga z zanadrza papier, pokazuje i powiada: Patrz, oto ja dziś zapłaciłem 3 papierki za asekuracyę, jak tu stoi pokwitowane. Ano, myślę sobie: dał ci on, czemużbym ja dać nie mógł. I poszedłem zaraz do ajenta i zaasekurowałem się. Jest już temu 5 lat. Jeszcze nigdy nie opuściłem raty i dziękuję Bogu, że mądrej rady posłuchałem.

Także i to mi się bardzo podoba, żeby po wsiach były uczone straże ogniowe i sikawki. Ale w naszej wsi trudno o to, bo się niema kto tem zająć. Do gadania dużo jest ludzi, ale do roboty ani jednego. Na starszych, na urzędników, toby jeszcze więcej było, ale na prostych żołnierzy nikt się nie zgłosi. Trochę jesteśmy tu leniuchami, ale to prawda, więc nie wstyd powiedzieć. Gdyby kto wypędził z nas leniucha, oj byłoby tu dużo dobrych rzeczy w gminie na pożytek wszystkich. Poleca Was Bogu *Jakób Szczyrek.*

Wiadomości polityczne.

Pośród ciężkiej walki o kawałek chleba, o byt i utrzymanie rodziny i gospodarstwa bywają nieraz w życiu ludzkiem chwile, że człowiek, przeciwnościami znużony, zaczyna wątpić, czy kiedykolwiek dopnie swego, zaczyna rozpaczać. Jakże on wtedy wdzięcznym jest temu, kto mu otuchy doda i do wytrwania w pracy zachęci, lepszą przyszłość ukaże. Podobnie jak z jednym człowiekiem, ma się rzecz z tysiącami ludzi, narodem całym, tworzącym, jako naród, jedną rodzinę, dążącą do jednego celu. Naród nasz polski od lat 120 nękany przeciwnościami, nawiedzany nieszczęściami, na trzy części podzielony, miewa również chwile zwątpienia i rozpaczy. Zdaje się nieraz, że wszelka nadzieja dla nas już stracona, bo i któżby mógł dać radę potężnym a wrogim nam mocarstwom, które, siląc się na

no i wypełniano wszystko dokładnie, co polecili, dźwigali się chorzy i z pomiędzy takkich umarło tylko dwóch, a było takich trzydziestu z okładem. Ale uparta Maćkowa nie słuchała rad lekarskich, nie pilnowała tego, co lekarz czynić kazał, robiła po swojemu i pogrzebała męża i dwoje dzieci podrosłych. Obie sąsiadki Grzelów, co to arakiem i okowitą leczyły, umarły obie. A że we wsi znalazło się ze trzydzieścioro takich, co albo taili chorobę, by lekarz do nich nie zajrzał albo nie zważali na rozkazy lekarskie, to też wszyscy zmarli.

Mnie jakoś ustrzegł Pan Bóg od choroby i nikt też u nas w domu na nią nie zapadł, bośmy się strzegli , a czynili wszystko, co lekarze czynić kazali. Ale co to za smutek był we wsi! Nie było domu bez łez, bez żalu, bez żałoby.

Minęły lata prędko; już piąty krzyżyk przybył mi od owego czasu. Jędrzejowie już zmarli, z dawnych ludzi mało kto został. Józek Grzela miał już żonę i dorastające dzieci, a był teraz wójtem. Zdarzyło się znowu nieszczęście, że u niego zachorowała córka na wielką gorączkę. Skoro tylko dojrzał choroby, zaraz dał dziewczynę do osobnej izby i posłał po doktora. Lekarz powiedział, że to czarna ospa, rozkazał ostrożność, nie pozwolił nikomu do chorej się zbliżać, tylko matce, a zakazał jej od chorej do innych chodzić dzieci. Zapisał różne polewania, lekarstwa. Józefowie pilnowali dobrze wszystkiego i za łaską Bożą dziewczyna wyzdrowiała, a we wsi nikt się od niej nie zaraził.

Gdyby się tak zrobiło przed laty, byłby żył mój Franuś, nie byłaby się zaraza rozeszła po wsi.

Opowiadam to prawdziwe zdarzenie ku przestrodze i nauce, aby każdy pamiętał, że z chorobą niema żartu, że należy natychmiast lekarza wezwać, gdy się choroba pojawi.

Cz. P.

zniszczenie naszego narodu, niemczą lub moskwiczą nam dzieci, wydzierają ziemi kawał po kawale, osadzając na nich wrogich nam cudzoziemskich przybyszów, prześladują i Kościół katolicki i wyznawców nauki Chrystusa Pana, zamykając i burząc kościoły, wywożąc na Sybir lub więziąc kapłanów i lud, a robią to wszystko przy pomocy zbrojnych zastępów wojsk utrzymywanych za nasze pieniądze na naszą zgubę. Pośród tak strasznego położenia jakże pożądanym, jak błogosławionym jest głos, który narodowi naszemu otuchy dodaje, do wytrwania zachęca, lepszą przyszłość obiecuje.

Głos taki przemówił do naszego narodu w dniach ostatnich, ztąd wielka radość niechaj będzie w narodzie, bo głos ten — to głos Namiestnika Chrystusa Pana! Tak nie kto inny, tylko sam Ojciec św. — przemawiając do polskich księży — przemówił niemal do całego naszego narodu. Proroczym duchem natchniony, mówiąc o prześladowaniach i cierpieniach naszych, powiedział Leon XIII: *Wszystko to Pan Bóg wam policzy i lękać się nie potrzebujecie, jakby było wszystko stracone. O nic, nic nie stracone, dopóki Polacy trzymają się wiary i Kościoła świętego. Ufam, że za łaską Bożą wytrwacie do końca i odniesiecie tryumf. Mówię wam, że nie zginiecie!* Słowa te brzmieć powinny, jako głos Namiestnika Chrystusa Pana, od granicy do granicy, w Polsce całej od końca do końca, a i poza Polską, na obczyźnie, od zachodu, gdzie bracia nasi za morzem w Ameryce szukają kawałka chleba, którego ich wróg w domu pozbawił — aż na daleki wschód, w Azyi, na Sybirze, gdzie na wygnaniu i w więzieniach cierpią za wierność Kościołowi świętemu i narodowi naszemu. Jakże teraz zmaleć powinna cała moc i potęga wrogów naszych, cóż znaczą ich wysiłki, skoro zginąć nie mamy i my odniesiemy tryumf, jeżeli tylko wiernie stać będziemy pod chorągwią Chrystusa Pana. Niemcząc i moskwicząc dzieci nasze, nie zniemczą ich i nie zmoskwiczą, odbierając nam ziemię przodków naszych, narodu nie zgubią i nie zniszczą, burząc kościoły i wywożąc księży i wiernych wyznawców, nic nam mimo to nie zrobią. Wszystkie te prześladowania znośmy, przed wrogami brońmy się i nadal, wytrwajmy a nie zginiemy, tryumf odniesiemy, bo tak nam powiedziała Głowa katolickiego Kościoła, tego Kościoła, którego bramy piekielne nie przemogą.

Różne rady gospodarskie.

Leczenie bydła a zabobony. Zdarzają sie choroby, w których tylko bezzwłoczna pomoc zdoła zwierzę uratować. Ludność powinna tedy posiadać środki pod ręką i ludzi, którzyby je zastosowali. Ludzi, gdzieby ich nie było, nawet takich, coby się „znali na leczeniu“, wszak lekarzy — powiada przysłowie — najwięcej na świecie. To też skoro zachoruje bydlę, zbiegają się ludzie i wszyscy radzą i ten radzi to, ów zachwala owo; ten się „podobno zna“, ów coś słyszał, tamten coś widział. Trudno inaczej — radzić trzeba, czasem się trafi i niezła rada, choćby większa część chybiła celu.

Właściciel, zaniepokojony o byt swego dobytku, chętnie przyjmuje każdą radę i prosi: „radźcie ludzie co możecie“, to też radzą wszyscy i ratują, jak mogą i jak umieją: ten smaruje, ten naciera, ów leje coś do gardła, baba „sięga“ do kiszki, a skoro nic nie pomaga, wychodzi na jaw „paskudnik“, trzeba zdjąć paskudnika. Ostatnia ucieczka, niestety ucieczka do zabobonu.

Przybyłem raz przypadkowo na podobną scenę; jałówka najadła się koniczyny, wzdęło ją, żołądek wypełniony gazami (parami) mało nie pęknie.

Cóż robili? Założyli patyk do pyska, omaziony, przywiązali w poprzek i pędzili co siły, potem polewali grzbiet zimną wodą i ugniatali brzuch pięściami. Dobre to są środki, gdyż sprawiają, że pary łatwiej się odbijają i łatwiej odchodzą kiszką. Także „sięganie“ do kiszki może być do celu pomocne, byle nie szukać krwi nie drapać, lepiej atoli zamiast sięgania dawać enemę z zimnej wody, ku czemu służy osobna szpryca.

Pytam tedy: Zadawaliście co wewnątrz? Wlali n a f t y. Dobry to środek, ale dać go trzeba z pół litry, lepszy jednak amoniak w ilości około 15 gramów t. j. łyżkę na butelkę wody z wódką, zadać kilka razy taką samą ilość. Tego nie było pod ręką.

W a p n o działa podobnie, ale słabiej. Daje się wody wymięszanej z wapnem gaszonem, t. zw. mleko wapienne, kilka butelek.

Pomaga też ług, tylko nie mocny, albo wprost popiół z wodą.

Tych środków nie było czasu próbować, bo bydlę już chwiało się na nogach i czas był najwyższy wypuścić gazy z żołądka; trzeba było przebić żołądek. Jest do tego osobny przyrząd t. zw. trokar i ten powinien być w każdej wsi, ale nie było go pod ręką. Cóż tu trzeba czynić? Wyjmuję więc zwykły scyzoryk i wbijam śmiałem pchnięciem w brzuch w tem miejscu, gdzie u bydlęcia głodnego jest dołek słabiznowy, po lewej stronie. W tej chwili wydobywają się z sykiem śmierdzące pary, a z niemi nieco zielonej karmy, brzuch opada, zwierzę przychodzi do siebie, niebezpieczeństwo minęło. Wyjmuję nóż, a zakładam w otwór rurkę z pióra gęsiego, aby tędy dalej się wydobywały. Po jakich 2 godzinach kazałem wyjąć rurkę, obmyć ranę, obetrzeć i przyłożyć zwykłej mazi wozowej, aby muchy nie siadały i dać soli glauberskiej na przeczyszczenie. Później dowiedziałem się, że rana w tygodniu się zagoiła i jałówka zdrowa, a byłaby zginęła, pomimo „zdjęcia paskudnika“, co już chciano próbować.

Już to z tym „paskudnikiem“ cała bieda i praw-

dę powiedziawszy, wstyd i hańba dla naszego włościaństwa. Częściej niż przy opisanej słabości obwiniają „paskudnika" przy innych chorobach brzusznych u bydła, a są one wielorakie, lecz „znawcy" wioskowi wcale ich nie odróżniają. U nich paskudnik gryzie w brzuchu a wyłazi oczami. Sam słyszałem, jak jeden z nich opowiadał sąsiadom, jakto ten paskudnik się wysuwa. Oczywista więc, skoro takiego złoczyńcę się zobaczy, to pierwsza rzecz, wyciąć go nożem lub zdrapać pazurami i to się nazywa „zdejmowanie paskudnika".

Lecz cóż to jest za stworzenie ten „paskudnik", co gryzie w brzuchu, a wyłazi oczyma?

Otóż nie jest to nic innego tylko t. zw. „trzecia powieka". Bydlę tak jak i człowiek ma dwie powieki, a prócz tego jeszcze chrząstkową w wewnętrznym kącie oka, która w pewnych słabościach wysuwa się i przysłania nieco oko, podobnie jak i górna powieka przemyka się, kiedy bydlę chore.

Nie jestto więc, powtarzam, żaden paskudnik, ale część ciała, która nic w chorobie nie zawiniła; jej wysunięcie się jest tylko objawem choroby, jak objawem choroby jest spuszczenie głowy itd.

Wycinanie paskudnika jest prawdziwem zastósowaniem przysłowia: „ślusarz zawinił, a kowala powiesili". Ci, co wycinają paskudnika, wydają mi się podobni do takiego warjata, któryby chciał obciąć ogon bydlęciu, aby się nie gziło. Gzik nie siedzi w ogonie, choć bydlę ogon podnosi, jak go gzik (mucha) napadnie, tak samo nie siedzi choroba w oku, ani w trzeciej powiece, choć ta powieka w pewnych chorobach się wysuwa. Obcinanie jej, lub drapanie i solenie nic a nic nie pomoże, a jest tylko bezcelowem, a więc głupiem dręczeniem zwierzęcia.

Tego głupstwa powinniśmy się pozbyć raz na zawsze, a kto chce się bliżej zapoznać ze sposobami ratowania bydła, to niech czyta książki, które o tem piszą.

NOWINY.

— **Z nad Raby** donoszą, że ostatnie deszcze spowodowały znaczny wylew Raby, który zrządził szkody na gruntach w dolinie tej rzeki. Największą jednak szkodę zrządziła woda w robotach regulacyjnych w Winiarach, Kunicach i Stadnikach, od lat kilku prowadzonych z wielkim nakładem Rządu jak też interesowanych. Woda poznosiła tamy, roznosząc szeroko po polach faszyny z porozrywanych tam, zawalając niemi pobrzeżne grunta. Woda rozniosła to co z wielkim kosztem kraju i interesowanych zbudowano. Okazało się, że tamy prostopadłe nie potrafią się oprzeć bystremu prądowi wody. Niemal wszystkie woda bądź zabrała unosząc z sobą, bądź zupełnie stargała wraz z brzegami, podczas gdy równoległe, idące z prądem wody, oparły się bystrym prądom.

— **Zakład drohowyzki** przed kilku dniami zwiedzili zupełnie niespodziewanie Marszałek książę Sanguszko i Namiestnik hr. Badeni. Ponieważ kurator zakładu hr. Skarbek nie był w tym dniu obecnym w Drohowyżu, przeto dostojnych gości, którzy cały zakład bardzo szczegółowo oglądali, oprowadzały mateczki tj. Siostry Felicyanki, dyrektor p. Włodek, naczelnik warsztatów p. Bauer i lekarz zakładowy Dr Kretschmar. Zwiedzanie zakładu trwało od godziny 8 rano do 12 w południe. Znaleziono tam podobno wielki nieład.

— **Śpiący stolarz.** Przed kilku miesiącami zamieściliśmy w piśmie naszem wzmiankę o górniku z Mysłowic Latusie, który spał bez przerwy przez pięć miesięcy, poczem umarł wskutek ogólnego wycieńczenia sił. Podobny wypadek jak z Latusem zajmuje teraz cały Berlin. Donoszą ztamtąd, co następuje: Stolarz Fryderyk Busch, 50 letni mężczyzna, przybył 5 czerwca z Berlina do domu w Charlottenburgu. Był wielce rozdrażniony i opowiadał, że mimowoli dostał się w jakieś zbiegowisko, które policya musiała rozpędzić. Wypocząwszy nieco Busch, położył się spać i śpi jeszcze dotąd. Żona jego robiła wszystko, aby go obudzić, trzęsła nim, zlewała go zimną wodą itp., ale potrafiła go obudzić tylko na chwilę, gdyż Busch natychmiast na nowo zasypiał. Nie chce on ani jeść, ani pić i tylko dla pokrzepienia od czasu do czasu wpuszczają mu do ust po kilka kropel mleka lub wody. Lekarze sądzą, że ten dziwny sen jest skutkiem pęknięcia jakiejś małej żyłki w oponie mózgowej.

— **Z Mościsk** donoszą, że z gąsienic, które w roku zeszłym pustoszyły tamtejsze ogrody, wylęgła się taka masa motyli, że kiedy wieczorem obsiędą drzewa, zdaje się, że drzewo okryte bujnym, białym kwiatem.

— **Pożary** nie ustają. W Czortkowie wybuchł pożar w magazynie Brenholtza tuż obok Starostwa. Dzięki gorliwemu ratunkowi tylko część budynku i kilka biur Starostwa uległo zniszczeniu. — W Balnicy pożar zrządził szkodę ocenioną na 3.000 złr. — W Kotoryczach spłonęły cztery obejścia. — W Brzegach spłonęło ośm domów mieszkalnych.

— **Burze i grady.** W dniu 9 b. m. we wsi Kołodziejówce burza z gradem poczyniła wielkie szkody. Nietylko zniszczyła zasiewy, ale nadto woda zabrała około 50 sztuk trzody chlewnej i owiec, jakkolwiek huragan trwał zaledwie godzinę. — W dniu 10 go b. m. w Bohorodczanach, Stebniku i Liścu spadł grad wielkości włoskiego orzecha.

— **Zemsta żydów.** We wsi Iwkowy założył tamtejszy nauczyciel p. Salabuna Kółko rolnicze, Czytelnię, a także i sklepik chrześcijański. Sklep ten opłacał się dobrze i wszystek lud spieszył tam po zakupno. Wskutek tego upadły sklepiki żydowskie. Nagle w nocy z dnia 1 na 2 czerwca buchnęły słupem płomienie obejmujące zabudowania p. Salabuny. Mimo ratunku z pięknych, nowych budynków nie zostało nic. Spaliło się bydło, trzoda, stodoły, prócz domu mieszkalnego i sklepiku. Spalił się atoli dach na mieszkaniu, sklepik więc przeniesiono do dworu. Lud przysięga, że to uczynili żydzi ze zemsty i postanowił odtąd ani po szpilkę nie wstępować do sklepu żydowskiego.

— **W Krośnie** podczas burzy uderzył piorun w komin domu obywatelki Pelczarskiej, która stała właśnie przy kuchni i zabił ją na miejscu. — W temże mieście od-

była się 11 b. m. komisya, która naradzała się i oglądała drogę pod nową kolej, mającą iść przez Ustrobnę, Potok, Krosno, Zręcin, Wietrzno do Dukli. Komisya uznała, że kolej ta ma wielkie znaczenie ze względu na istniejące w tych stronach kopalnie nafty.

— **We wsi Ulicko** koło Rawy znalazł chłopak pasący bydło w lesie garnek, w którym znajdowało się 340 starych srebrnych i złotych monet, pochodzących z dawniejszych czasów polskich. Dowiedzieli się o tem wnet żydzi i wiele już od niego wycyganili za bezcen, bo chłop na pieniądzach się nie zna.

— **Cud.** Z Buczacza piszą do *Pogoni tarnowskiej*: Pospieszam podzielić się niezwykłą wiadomością pojawienia się w tutejszym powiecie cudownego obrazu.

We wsi Pomorcach żyli od dłuższego czasu dwaj wieśniacy (ojciec i syn) w niezgodzie. Żeby swarom kres położyć, stary ojciec, chorujący od długiego czasu na puchlinę wodną, wydzielił synowi kawał gruntu, na którym stanął wkrótce nowy dom drewniany wystawiony przez syna. Przed trzema tygodniami, a był to dzień św. Mikołaja (święto kościelne według obrządku ruskiego), zaczął syn oblepiać dom swój gliną zewnątrz. Zobaczywszy to stary ojciec, nakrzyczał syna, że znieważa święto i daje gorszący przykład drugim ludziom i kazał mu zaprzestać dalszej pracy. Ze złości syn gliną zalepił okienko ojca, wychodzące na jego podwórze, żeby chory nie mógł widzieć, co syn robi. Nazajutrz matka bezbożnego syna musiała obmyć okienko zalepione. Lecz pomimo wielokrotnego mycia szyba, która już przez kilkanaście lat tworzyła okienko biednego wieśniaka, nie dała się obmyć zupełnie. Po zmyciu bowiem gliny pozostał na szybie wizerunek św. Mikołaja. Postać tego świętego widzialną jest z obydwóch stron szyby, a pomimo, iż w obecności kanoników buczackiego i z Jezierzan myto ją, postać świętego ani zetrzeć ani obmyć się nie dała. Szybę tę wyjęto następnie w obecności księży i zaniesiono do miejscowej cerkwi, dokąd teraz schodzą się setki ludzi, by podziwiać cud.

Włościanin stary, w którego domu to się stało — był od kilkunastu lat chory na puchlinę, a od owego zdarzenia wyzdrowiał i obecnie nietylko sam chodzi, ale i w polu pracować może. Tak twierdzą miejscowi ludzie i ich proboszcz, gotowi prawdziwość stwierdzić przysięgą. Wypadałoby przeto, żeby sprawą tą zajął się ruski konsystorz metropolitalny, aby zbadać, czy niema tu jakiego oszustwa.

— **Z kopalni w Przybram** wydobyto windą górnika Sonkupa w 40 godzin po wybuchu ognia. Zrozumieć trudno, jakim sposobem wyszedł on cało ztamtąd, gdzie wszyscy jego towarzysze zginęli. Sam Sonkup opowiada, iż błąkał się po różnych piętrach, trafiając zawsze szczęśliwie na przestrzenie wolne od dymu i goru. Kiedy Sonkupa wydobyto na powierzchnię ziemi, żona, która go już opłakała, zemdlała z radości.

— **Lżą i biją!** Gorzej od niemieckich nauczycieli na Szląsku Pruskim postąpił sobie pewien dyrektor szkoły ludowej w Prusach Zachodnich. Pan ten tak dalece się zapomniał, że na lekcyi religii z dziećmi polskiemi, rozgniewany tem, że dzieci w języku niemieckim niezadawalniające dawały odpowiedzi, wyzywał je w brutalny sposób słowy następującemi: „Ihr polnischen Hunde, nach Russland, nach Sibirien mit euch! Warum lernt ihr nicht deutsch? Warum sprechet ihr zu Hause polnisch?“ (Wy polskie psy, do Rosyi, na Sybir z wami! Czemu się to po niemiecku nie nauczycie? Czemu w domu po polsku mówicie?) Jakże nazwać postępowanie takiego nowoczesnego nauczyciela i to jeszcze przełożonego nad całą szkołą? Że dzieci polskie, uczęszczając od szóstego do czternastego roku do szkoły, nie nauczą się po niemiecku, lubo wszystkie przedmioty po niemiecku im są wykładane, nie jest winą dzieci samych, ale systemu, jaki w szkole tam panuje. Czy zaś nauczą się one religii, jeżeli nauczyciel „psami polskiemi“ je nazywa? Czyż tak daleko jużeśmy doszli, że dzieci polskie dla nauczycieli „psami“ są? Jakże dziecko powziąć może szacunek dla nauczyciela, jeżeli tenże „psem“ je mianuje?

— **Dzielne dziewczyny.** Kilkanaście dni temu trzy młode dziewczyny wiejskie, Sienkiewiczówna, Pakułówna i Komferowska, stojąc na brzegu Wisły w okolicy Bielan pod Warszawą, przyglądały się przypływającym statkom parowym. Wtem piaszczysty brzeg obrywa się i najmłodsza z dziewcząt, piętnasto-letnia Sienkiewiczówna, wpada w wodę. Pakułówna, widząc towarzyszkę w niebezpieczeństwie, rzuca się za nią bez namysłu z wysokiego brzegu, ale porwana silnym prądem rzeki, sama tonąć zaczyna. Wtem Komferowska wskakuje za niemi, dopływa z trudem do Pakułówny, porywa ją za włosy i wyciąga na brzeg. Tymczasem Sienkiewiczówna zginęła pod wodą i dzielna towarzyszka nie zdołała jej ocalić. Dopiero nazajutrz wyłowiono ciało nieszczęśliwej.

— **Za polowanie** w niedzielę podczas nabożeństwa został pewien pan w Kilonii w Niemczech na karę pieniężną skazany. Przeciwko temu wyrokowi rekurował do dalszej instancyi, powołując się na to, że nie strzelał i nawet nie miał zamiaru strzelać, więc nie polował. Rekurs ten jednakowoż został odrzuconym z tem uzasadnieniem, że za zakazane polowanie trzeba uważać, jeżeli kto znajduje się w rewirze w uzbrojeniu myśliwskiem i ze strzelbą naładowaną, bez względu na to, czy coś zastrzelił — albo też tylko zastrzelić mógł. Dobrzeby było, gdyby i naszych panów strzelców, co to w niedziele i święta polują, wzięto w podobne obroty.

— **Mróz w końcu maja.** Dzienniki rosyjskie donoszą, że w włodzimierskiej gubernii był w nocy z 27 maja mróz tak silny, że na sadzawkach i kałużach powstała gruba warstwa lodu. Wszystkie owoce zniszczone oczywiście zostały zupełnie, ale i zboża na polach ucierpiały bardzo. Są czarne i zwarzone.

— **Z Warszawy.** Ks. Arcybiskup Popiel upomniał się, ażeby wyścigi nie odbywały się w niedziele, ani we święta. Towarzystwo, co się wyścigami w Warszawie zajmuje, usłuchało głosu Arcypasterza i będzie urządzało odtąd gonitwy tylko w dni powszednie. I zaiste należy się święcić niedzielę istotnie, w czynie, a nie tylko na ustach.

— **Z Rosyi.** Klerykom seminaryum petersburskiego zdarzyło się, co następuje. Pewnego dnia wracali po nieszporach do domu z kościoła katedralnego. Jedna ich część z inspektorem swoim ks. Przesmyckim przechodziła przez most; mniejsza część była jeszcze przed mostem. Wtem nadjechał car w powozie. Ci, co byli na moście, zdjęli zaraz czapki, pozdrawiając przejeżdżającego. Ci zaś, co przed mostem byli, zapatrzyli się w okno wystawne pewnego sklepu i nie spostrzegłszy cara, nie ukłonili się. O to narobiło się wiele hałasu. Minister spraw wewnętrznych dał surową naganę ks.

Arcybiskupowi, rektorowi akademii duchownej, a inspektora, który szedł z klerykami, ks. Przesmyckiego, choć ci, co z nim szli, czapki zdjęli, skazano na 6 miesięcy zamknięcia w klasztorze. Rektor seminaryum musiał zapłacić 50 rubli kary!

— **Rząd włoski** ma tyle biedy i kłopotu z rządzeniem kraju i z ministrami, a jednak jeszcze znajduje się czas na prześladowanie Kościoła, księży i wszystkiego, co ze Stolicą Papieską jaką styczność ma. Nieboszczyk Papież Pius IX kazał na cmentarzu postawić pomnik tym, co w walce z Garybaldim za wolność i prawa Ojca św. polegli. Słychać, że rząd chce skasować ten pomnik. Nie dość rządowi, że żywych prześladuje, ale nawet pamięci zmarłych i kamienne pomniki niszczy dlatego pewnie, ponieważ go ciągle żgają jako pamiątki z czasów wolności Papieża i ciągle mu przypominają, że Ojca św. okradł.

— **Olbrzymi kamień, spadły z nieba.** W tych dniach spadł do Morza Kaspijskiego kamień niebieski olbrzymich rozmiarów. Jest to wielka skala czarna, stercząca z morza na 2 sążnie; że zaś głębokość morza wynosi w tem miejscu 4 sążnie, a przy upadku kamień musiał się też zaryć w dno co najmniej na sążeń, ogólna więc wysokość tego kamienia niebieskiego wynosi prawdopobnie około 8 sążni.

Przy spadku tego kamienia słychać było huk ogłuszający i uczuć się dało małe wstrząśnienie ziemi. Morze na znacznej przestrzeni wzdęło się i woda silnie zasyczała.

— **Sprawa szkolna w Ameryce.** W Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki są szkoły rządowe, w których uczą podług planu i woli rządu, i są szkoły prywatne, o które rząd się nie troszczy i nie pyta, czy dziecko jakie chodzi do rządowej, czy do prywatnej szkoły. Katolicy amerykańscy założyli bardzo wiele takich szkół prywatnych, sami na nie płacą, sami ustanawiają nauczycieli i sami ich dozorują, aby wszelka nauka udzielaną była w duchu katolickim. Zdarzyło się niedawno, że pewien biskup oddał dwie takie parafialne szkoły rządowi; rząd wziął te szkoły na swoje utrzymanie, ale chciał też zaraz zaprowadzić w nich naukę bez wiary, jak to się dzieje po innych szkołach rządowych. Katolicy zasmucili się tem i wysłali zażalenie do Ojca świętego. Ojciec św. wydał teraz pismo do Biskupów amerykańskich, w którem zachęca Biskupów, duchowieństwo i katolików w Ameryce do zakładania szkół katolickich, iżby dzieci katolickie miały wychowanie religijne, i przestrzega przed szkołami rządowemi, gdzie dziatkom chrześciańskim grozi niebezpieczeństwo zepsucia obyczajów.

Z Wieliczki. W niedzielę dnia 3 lipca 1892 roku urządzonem będzie *Zwiedzenie sławnych na całym świecie Kopalń Wielickich*, z którego czysty dochód przeznacza się na *budowę domu Akademickiego w Krakowie.* W tym celu będzie kopalnia rzęsiście oświetloną, a nadto urozmaicą pobyt Szan. Publiczności w kopalni ognie sztuczne i jazda piekielna.

Ponieważ w tym dniu tylko 400 osób w dwóch oddziałach po 200 osób kopalnię zwiedzić może, dlatego podaje się do wiadomości Szanownej P. T. Publiczności, że biletów wyłącznie w Krakowie w księgarni S. A. Krzyżanowskiego (Rynek linia A—B), w kawiarni Piotra Porzyckiego, Rynek Nr 17 I piętro, oraz we Wieliczce przy kasie nabyć można.

Cena biletu dla jednej osoby 2 złr. 50 ct. bez zjazdu i wyjazdu machiną parową.

Bilet dla jednej osoby ze zjazdem i wyjazdem machiną parową 2 złr. 80 ct.

Wejście i zjazd do kopalni odbywa się o godzinie $1^3/_4$ po południu.

Pociąg osobowy odchodzi z Krakowa do Wieliczki o godzinie 1 po południu, a z Wieliczki do Krakowa o godzinie 6 min. 35 wieczorem.

Przewodnik ilustrowany kopalni można nabyć przy zakupnie biletów.

Komitet Obywatelski budowy domu Akademickiego w Krakowie.

Ceny zboża
(z targu na Kleparzu).

Kraków 21 czerwca.

Płacono: za pszenicę białą od 10 złr. — ct. do 10 złr. 60 ct., za czerwoną od 9 złr. 60 ct. do 10 złr. 40 ct., za żółtą od 9 złr. 50 ct. do 10 złr. 35 ct., za żyto od 9 złr. 20 ct. do 9 złr. 80 ct., za jęczmień browarny od 7 złr. 80 ct. do 8 złr. — ct., na kaszę od 7 złr. — ct. do 7 złr. 25 ct., za owies od 6 złr. 90 ct. do 7 złr. 35 ct., za rzepak stary od — złr. — ct. do — złr. — ct. — Wszystko za 100 kilogramów.

Kalendarzyk tygodniowy.

Dnia	Święta rzymskie	Wschód słońca		Zachód słońca	
		god.	min.	god.	min.
26	*Nied. 3 po Z. Św.* Jana i Pawła braci.	3	54	8	11
27	Pon. Władysława króla wyzn.	3	54	8	11
28	Wt. *Wigilia.* Leona Papieża.	3	55	8	11
29	Śr. *Piotra i Pawła Apostołów.*	3	55	8	11
30	Cz. Emilii i Lucyny.	3	56	8	11
	Lipiec ma dni 31.				
1	Piat. Teobalda opat. i Aarona.	3	57	8	11
2	Sob. Nawiedzenie N. M. P. i Ottona. ☽	3	58	8	10

Odpowiedzialny redaktor i wydawca:

Ksiądz Marceli Dziurzyński.

Nakład i własność „Spółki wydawniczej polskiej w Krakowie, zarejestrowanej z ograniczoną poręką“.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarządem Józefa Łakocińskiego.